

# Elżbieta Kępińska



Elżbieta Kępińska związała się z aktorstwem na dobre i na złe. Podczas „lat tłustych” poznała smak sławy i popularności, podczas „chudych” doznała goryczy odrzucenia i z przykrością znosiła brak propozycji w teatrze, który zawsze uważała za swój azyl. W pewnym okresie na jej życiu aktorskim i osobistym zaciążyła polityka. Zawsze pracowała na najlepszych scenach dramatycznych w Polsce. Od wielu lat jest aktorką Teatru Powszechnego w Warszawie.

Jej pierwsza rola — Jo w „Smaku miodu” uznana została za wydarzenie. Premiera odbyła się w gdańskim Teatrze Wybrzeże w 1959 roku. Reżyserował Konrad Swinarski, a w obsadzie spektaklu znaleźli się także Wanda Stanisławska-Lothe i Władysław Kowalski. Sukces tamtego przedstawienia pociągnął kolejne propozycje — Ofelię w pierwszym „Hamlecie” Andrzeja Wajdy i Polly w „Operze za trzy grosze”. Jeszcze na Wybrzeżu Andrzej Wajda zaczął przygotowywać „Dwoje na huśtawce”. Spektakl, inaugurujący nową Scenę 61 warszawskiego Teatru Ateneum, okazał się kolejnym wielkim sukcesem Elżbiety Kępińskiej i Zbigniewa Cybulskiego.

Krytycy pisali, że Kępińska potrafi znakomicie stworzyć subtelne studium psychologiczne kobiet pulsujących namiętnościami.

Z dzisiejszej perspektywy widzę, że miałam start rzeczywiście efektowny, może nawet zbyt efektowny. Sukces tamtych przedstawień najlepiej pokazał, jak łatwo kreujemy gwiazdy i jak szybko o nich zapominamy. Wysoka ocena publiczności i krytyków, którzy przyjeżdżali na nasze spektakle niemal z całej Polski, bardzo mnie przestraszyły. I, jak się potem okazało, ten strach miał swoje uzasadnienie. Często proponowano mi role dziewczynom lekko neurastenicznych. Ponieważ sprawdziłam się w tego rodzaju repertuarze, z czasem wpadłam w niebezpieczny schemat. Mając ciągle niewielkie doświadczenie, zaczęłam sięgać po to, co mi przychodziło najłatwiej. Jeśli miałabym być sama dla siebie bardzo surowym krytykiem, powiedziałabym o moim największym błędzie jako aktorki, czyli infantylizmie, który towarzyszył mi nieproporcjonalnie długo. Z tej cechy, niestety, zbyt późno zdałam sobie sprawę.

Zygmunt Hubner zaangażował do Teatru Wybrzeże Elżbietę Kępińską i Władysława Kowalskiego na początku lat 60. To małżeństwo aktorskie wniosło do teatru ogromny entuzjazm. Na scenie spotkałem się z Elżbietą w 1961 roku w szekspirowskim Hamlecie — wspomina Edmund Fetting, odtwórca roli tytułowej. — Ofelia była wspaniałą kreacją Elżbiety Kępińskiej. Pełna świeżości, delikatności, subtelności, młodości, pasji życia i bardzo przejmująca w scenie obłędu. Pamiętam, że kiedyś oglądałem „Moralność pani Dulskiej”. Elżbieta grała tam Tadrachową i z tego epizodu potrafiła zrobić prawdziwy majstersztyk.

Elżbieta Kępińska przyznaje, że aktorstwo jest dla niej rodzajem terapii, ucieczki przed samą sobą, możliwością skrycia się za innego człowieka.

— Sama nie wiem, dlaczego zostałam aktorką, po prostu wiedziałam, że nie mogę robić w życiu niczego innego. Żeby było zabawniej, to w szkole nie przejawiałam zupełnie zainteresowania ani mówieniem poezji, ani kółkami dramatycznymi.

# Gorzki smak miodu



Z Władysławem Kowalskim w „Lycejskiej” Eugène'a Ionesco na scenie warszawskiego Teatru Ateneum, 1966 r.

— Zawsze interesowali mnie ludzie w jakiś sposób przegrani, niedowartościowani, którzy mają kłopoty w życiu i nie bardzo mogą znaleźć miejsce dla siebie.

Mało tego, do dziś publiczne mówienie wiersza to dla mnie niemal samobójstwo. Straszliwie się boję estrady, czuję się dobrze tylko i wyłącznie na scenie. Tam jestem inną osobą. Zawsze bardzo starannie rozgraniaczałam swój zawód i życie prywatne.

Dzieciństwo, na które przypada okres okupacji, spędziła aktorka w swej rodzinnej Częstochowie. Po wojnie wraz z rodzicami przeniosła się do Łodzi. Po maturze zdawała na wydział aktorski krakowskiej PWST.

— Do egzaminu byłam nieprzygotowana do tego stopnia, że nie umiałam nawet żadnego wiersza na pamięć. Komisja mimo tego zwróciła na mnie uwagę, bo zakwalifikowała na obóz, na którym mieliśmy już zajęcia z profesorami. Obóz kończył się egzaminem, który decydował o przyjęciu do szkoły. Dobrze się tam czułam, choć niejednokrotnie udawałam nieobecność, gdy tylko uważałam, że pojawiło się zadanie przerastające moje możliwości. Do ostatecznego egzaminu nie przystąpiłam ze strachu. W ogóle bardzo często uciekałam przed wyzwaniem, które stawiało mi życie. Nie wychodziłam im naprzeciw, tylko uciekałam.

Następny rok aktorka spędziła jako statystka w krakowskim Teatrze Młodego Widza. Tam zgłębiała tajniki zawodu aktorskiego. Z drugim egzaminem wstępnym do szkoły teatralnej nie miała żadnego problemu. Warszawską PWST ukończyła z wyróżnieniem.

— Reżyserzy nie lubią ryzyka. Chętnie obsadzają aktorów według pewnych schematów. Może właśnie dlatego jedną z ról, z których jestem naprawdę dumna, jest Irina w „Szewcach” Witkacego w reżyserii Macieja Prusa, przygotowana w warszawskim Ateneum. Myślę nawet, że spośród dwóch scen stołecznych właśnie w Ateneum przeżyłam swój najbardziej twórczy okres. I nawet niekiedy żałowałam, że dałam się namówić Zygmuntowi Hübnerowi na przenosiny do Powszechnego. Choć przecież nigdy nie wiadomo, jak poczytyby się moje losy w Ateneum.

Jeszcze na studiach Elżbieta Kępińska poznała swego pierwszego męża, Władysława Kowalskiego, z którym zagrała wiele pięknych ról. I choć od lat nie są już małżeństwem, do dziś pozostali w przyjaźni i jako aktorzy Teatru Powszechnego im. Zygmunta Hübniera niejednokrotnie spotykają się na scenie.

— To zabawne, ale kiedy startowaliśmy w tym zawodzie, Kajtek Kowalski miał zdecydowanie niższe noty niż ja. Potem jednak wolno, lecz konsekwentnie się rozwijał i dziś ma pozycję naprawdę silną. Sprawdził się zresztą nie tylko jako aktor, bo od pewnego czasu z powodzeniem zajmuje się też reżyserią. Ogromnie cenię jego aktorstwo i zawsze lubiłam spotykać się z nim na scenie. Obecnie gramy dwoje staruchów w najnowszej sztuce Janusza Głowackiego „Czwarta siostra”.

Na początku lat 80. na życiu aktorskim i osobistym Elżbiety Kępińskiej bardzo mocno zaciążyła polityka. Jej obecny mąż, Mieczysław F. Rakowski, był wówczas wicepremierem. Wtedy większość środowiska bojkotująca władzę PRL odwróciła się także od Elżbiety Kępińskiej. Aktorka nie otrzymała wówczas żadnej interesującej propozycji ani w teatrze, ani w telewizji.

— Nie chciałabym dziś usprawiedliwiać swoich niepowodzeń tym, że związałam się akurat z Mieczysławem Rakowskim, człowiekiem, który zawsze budził skrajne opinie. Którego działalność, zarówno jako redaktora naczelnego „Polityki”, jak i prezesa Rady Ministrów, odbierana była pozytywnie lub negatywnie, i do dziś ma gorących zwolenników i zaprzysięgłych wrogów. Był taki okres, że źle się czułam w moim środowisku, spotkało mnie bardzo dużo różnych przykrości. Gdy wchodziłam do bufetu teatralnego, milki rozmowy i tylko kilka osób zdecydowało się dosiąść do mojego stolika. W stanie wojennym zostałam poddana takiej próbie, że poważnie myślałam o rezygnacji z zawodu. Ale cóż, w życiu za wszystko płaci

się jakąś cenę. Boli mnie tylko to, że kiedyś dziennikarz powiedział, że byłam drugą po Ninie Andrycz — aktorką — żoną premiera. Efektowne porównanie. Tyle że być żoną premiera w epoce Cyrankiewicza znaczyło mieć wszędzie drzwi otwarte, zaś w czasach, gdy ja byłam „premierową”, oznaczało mieć środowisko i publiczność przeciw sobie. Myślę jednak, że gdybym miała większą siłę przebicia, być może też byłabym bardziej utalentowana, żadne względy rodzinne nie przeszkodziłyby mi nawet wtedy. Jestem jednak osobą zbyt słabą psychicznie, by znieść samotność i odrzucenie.

— Elżbieta zawsze była bardzo lojalna zarówno w stosunku do zespołu, jak i Zygmunta Hübniera — uważa Piotr Cieślak. — Bardzo miło wspominać z nią współpracę przy wielu spektaklach. Szczególna anegdota wiąże się z przedstawieniem „Czwartkowe damy”. Obsada była gwiazdorska Anna Seniuk, Mirosława Dubrawska i Elżbieta Kępińska. Pikantę rolę całej sprawy dodawał fakt, że Elżbieta grała wdowę po komuniście. W jednej ze scen wyciągała z szafy wielką księgę ze słowami „O konstytucja ZSRR — najbardziej sprawiedliwa na świecie”. I mimo, że interpretowała te słowa na rozmaite sposoby zawsze na widowni słychać było śmiech. A nie chodziło nam wcale o takie proste skojarzenia, bo sytuacja teatru i Zygmunta Hübniera była bardzo trudna i nie chcieliśmy prowokować ówczesnych władz. Elżbieta zawsze bardzo poważnie traktuje swój zawód, jest świetnie przygotowana do każdej roli. Bardzo źle znosi, gdy nie pojawiają się ciekawe propozycje, ale to niestety zdarza się wielu aktorkom.

— Elżbietę poznałam na początku lat 70. Polubiłam ją od pierwszego spotkania. Potem obie trafiłyśmy do teatru Zygmunta Hübniera. Do dziś jesteśmy przyjaciółkami w dobrym i złym — mówi Joanna Żółkowska. — Obie mamy podobne gusta artystyczne, podobne poczucie humoru. W aktorstwie Elżbieta porusza się w rejonach dla mnie zupeł-

nie niedostępnych. Mamy do siebie ogromne zaufanie. Ela jest bardzo lojalną przyjaciółką. Bez względu na wiek zawsze duchem pozostanie młoda. Moja córka mówi do niej po prostu Elka i nikogo to nie dziwi.

— Każdy z aktorów wnosi pewne nadzieje związane z tym zawodem — uważa Elżbieta Kępińska. — Nie znaczy to wcale, że od razu chcielibyśmy być gwiazdami i marzymy wyłącznie o sukcesie. Pragniemy, by ktoś zauważył, że się rozwijamy, że teraz zagrałiśmy inaczej niż przedtem. Przecież nawet mała rola niesie w sobie coś nowego. Cała radość uprawiania tego zawodu to budowanie postaci z okruszków, z drobnych elementów, które daje nam autor. Myślę, że do dziś zachowałam w sobie sporo takiej naiwnej radości, wynikającej z zawodu, który uprawiam.

— Strasznie trudno mi mówić o aktorstwie Elżbiety — przyznaje Władysław Kowalski. — Spędziliśmy kawał życia razem i nietatwo mi swe obserwacje jakoś zobiektywizować. Do dziś pamiętam fragment jej egzaminu ze szkoły teatralnej. Zaprezentowała wtedy aktorstwo charakterystyczno-komediowe w czystej postaci i w sposób całkowicie niebanalny. Potem to wszystko poszło w nieco inną stronę. Rozpoczęła się seria naiwnych amantek. Elżbieta jest niewątpliwie utalentowaną aktorką i myślę, że warto ją obsadzać wbrew wszelkiemu rodzajowi schematom. Także wbrew jej wyobrażeniom o sobie.

— Od dawna wiem, że należą do aktorek, które mają tzw. trudne warunki i połowa moich niespełnień bierze się właśnie z tego, że — jak niektóre moje koleżanki — nie mogę zagrać wszystkiego. Myślę, że tym spowodowana jest także moja rzadka obecność w filmie i telewizji. Z tych niewielu ról, które dotychczas zagrałam szczególnym sentymentem darzę Kazię w „Samsonie”, ale ten film z kolei nie najlepiej wspomina Andrzej Wajda. Widzowie pamiętają mnie często z postaci Frani w „Dziewczętach z Nowolipek”. Wśród spektakli telewizyjnych zachowałam w pamięci „Urodziny Stanleya” Pintera w reżyserii Zbigniewa Zapasiewicza i „Pamiętnik służącej Zefiryny” Broscha w reżyserii Stefana Szlachtycy. Ale o tych spektaklach już dawno słuch zagaśniał i prawie nikt o nich nie pamięta.

Ostatnio wiele satysfakcji sprawia aktorce udział w dwóch premierach Teatru Powszechnego w „Kalece z Inishmaan” McDonagha i „Czwartej siostrze” Głowackiego.

— Bardzo trudno zaistnieć na scenie, kiedy się gra epizody, bo większość naszych krytyków ocenia jedynie główne role. Zupełnie tak, jakby ilość tekstu nobilitowała aktora, a to, co gram teraz, to niewielkie role, prawie epizody. Ale obie sprawiają mi wiele satysfakcji. W „Kalece” moja bohaterka jest szalenie wielobarwna: i bezradna, i śmieszna, i głupia, i dobra, i zręda. Babuszka w sztuce Głowackiego jest bardziej jednowymiarowa. Mimo to widzowie świetnie ją odbierają. Wbrew opinii części krytyki uważam „Czwartą siostrę” za najciekawszą sztukę Janusza Głowackiego. To sztuka o zanikaniu wszelkiej wartości, o potwornej samotności, w jakiej żyje człowiek. I o poszukiwaniu miłości, jako jedyne sensu w tym straszliwie zabałaganionym świecie. Miłości, której każdy z nas tak bardzo potrzebuje.

JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

287 Kowalski 3